CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 2 5 I 1989 r. Cena 25 zł

W KRAINIE FANTAZJI

patrz strona 4–5

UWAGA!

harcerze z Warszawy i okolic!

W „ŚM" drukowaliśmy rozmowę z **dr. Michałem Lebiedowskim,** chirurgiem ortopedą, ordynatorem Oddziału Rehabilitacji Centrum Zdrowia Dziecka.

Doktor „straszył", niestety — wcale nie na wyrost. Mówił o tym, jak przerażająco wysoki jest procent tych spośród Was, którzy zagrożeni są wadami i deformacjami postawy. Zaproponował, że sam pokaże pierwszym ochotnikom zestaw ćwiczeń, który będą mogli przeprowadzać ze swoimi kolegami w swoich szkołach i drużynach harcerskich.

Czekamy na listowne zgłoszenia!

REDAKCJA

Karaluchy wywołują duszności

(PAP). Nikt nie lubi karaluchów, z reguły dlatego, że mają niesympatyczny wygląd oraz równie niesympatyczne zwyczaje. Amerykańscy entomolodzy owady te obarczają odpowiedzialnością za wywoływanie wśród mieszkańców biednych dzielnic Nowego Jorku chorób alergicznych. Prof. Bann Kang twierdzi, że karaluchy roznoszą: grzyby, pierwotniaki, bakterie i wirusy. Te zaś są przyczyną napadów duszności wśród wielu ludzi. Astma pojawia się tam, gdzie następuje inwazja uciążliwych owadów.

BĘDZIE WIĘCEJ APARATÓW ILIZAROWA!

(PAP). Lekarze w Lublinie dysponowali dotąd tylko trzema aparatami do wydłużania kości goleni. Żeby wydłużyć nogę o kilka centymetrów potrzebne jest wielomiesięczne leczenie.

Jest szansa, aby zmniejszyła się kolejka oczekujących na dostęp do aparatu. FSC w Lublinie rozpocznie seryjną produkcję tego specjalistycznego oprzyrządowania medycznego. Konstrukcja specjalistów z Lubelskiej Kliniki Ortopedii Dziecięcej działa na podobnej zasadzie co aparat Ilizarowa.

„Europa" waży 68 ton i 200 kg

Do Polski na gościnne występy zajechał nie byle kto — najprawdziwszy wieloryb. Zabawi on w naszym kraju około 2 miesięcy odwiedzając oprócz stolicy Radom, Łódź, Piotrków Trybunalski, Tomaszów Mazowiecki, Częstochowę, Kraków, Katowice i Wrocław. Będzie więc okazja zobaczyć go na własne oczy! Artysta podróżuje i spędza czas w specjalnie przystosowanym dla niego ogromnym samochodzie ciężarowym, ponieważ raczej trudno byłoby znaleźć mu miejsce w hotelu. Ale oddajmy mu głos:

„Nazywam się Płetwal Błękitny. Występuję pod pseudonimem artystycznym „Europa". Mam 22 metry długości, ważę 68 ton i 200 kg, czyli mniej więcej tyle ile 16 dorosłych słoni. Jestem największym zwierzęciem jakie kiedykolwiek żyło na ziemi, a także najsilniejszym. Z powodu dużych rozmiarów poruszam się raczej powoli osiągając w wodzie szybkość 32 km/godz. Moje serce waży aż 400 kg i być może dlatego jestem okropnie sentymentalny. Mam tylko jedną żonę, której pozostaję wierny na całe życie. Jedną z największych moich wad jest bardzo słaby słuch, ale mimo to czasami śpiewam.

Na pomysł moich występów po Europie wpadł wiele lat temu pewien Norweg. Chciałbym nadmienić, że nie jest to moja pierwsza wizyta w Polsce. Gościłem u Was w 1963 r. i być może pamiętają mnie jeszcze Wasi rodzice.

Poprzez występy w wielu krajach Europy chciałbym zaapelować do ludzi o ochronę moich rodaków, których jest już coraz mniej na świecie. Ciągle jeszcze zdarzają się przypadki polowań na wieloryby.

Dlatego właśnie podróżuję wierząc, że uda mi się wszczepić Wam — ludziom — choć trochę miłości do natury, zwierząt, a zwłaszcza do mojej gigantycznej rodzinki".

(jz)

Fot. **Jacek Łopuszyński**

UŚMIECH NUMERU

W KOMISARIACIE dyżurny milicjant pyta pana Mądralę:

— I kiedy pan zauważył, że ukradziono panu samochód?

— Wczoraj wieczorem, kiedy wyszedłem z imienin Iksińskiego: otwieram drzwi wozu, siadam za kierownicą, przekręcam kluczyk w stacyjce — a tu samochodu nie ma..!

★

NA SZKOLNYM balu maskowym Mądrala mówi do Iksińskiej:

— Czy ty jesteś przebrana za stonogę?

— Zwariowałeś?! Przecież widzisz, że jestem Czerwonym Kapturkiem!

— No, widzę! Ale wydawało mi się to niemożliwe, abyś mnie w tańcu tak podeptała tylko dwoma nogami...

Z „Jagódek" wyrosły „Jagody"

133 Drużyna Zuchowa „Czarne Jagódki" z Laskowic Pomorskich znana jest w hufcu wszystkim. A i w chorągwi o niej słyszano. Zdobyła bowiem w swej krótkiej karierze pierwsze miejsce na szczeblu chorągwi w Turnieju Wiedzy Obywatelskiej. Jechali na ten turniej obładowani albumami, kronikami, transparentami i plakatami.

Ta Mistrzowska Drużyna Zuchów brała udział w wielu przeglądach piosenki, a miała tych piosenek w swoim repertuarze wiele, jak rzadko która drużyna.

Przygotowujący się do każdej zbiórki z olbrzymim zapałem, wszędobylscy, i tak wspaniale regulaminowo umundurowani: ależ byłby krzyk, gdyby ktoś miał na przykład źle wyszytą sprawność! Skromni i pracowici, a mogący się pochwalić tak wieloma sukcesami. Ot, choćby zuch Sebastian Golisz został wicemistrzem Polski w zuchowym turnieju szachowym w Oleśnicy koło Wrocławia. W pociągu, którym jechał wraz z drużynową, wygrywał ze wszystkimi pasażerami...

We wrześniu 88 roku „Jagódki" otworzyły próbę na harcerza. Dwa miesiące później, w obecności rodziców i wielu gości, składały przyrzeczenie. Odebrała je od swoich harcerzy drużynowa phm. Katarzyna Tomaszewska. 133 DH „Jagody" — bo tak się teraz nazywają — przygotowała dla wszystkich, którzy uczestniczyli w jej święcie, montaż słowno muzyczny z okazji 70-lecia odzyskania niepodległości i 70. rocznicy działalności ZHP w naszym kraju. Wykonali go po mistrzowsku. Ale czy może być inaczej, skoro pracuje się pod kierunkiem druhny Kasi?

Druhna phm Katarzyna Tomaszewska jest instruktorką, jakiej „Jagodom" mogą pozazdrościć wszyscy. Ma zawsze dla swoich 36 urwisów i czas, i tysiące pomysłów. Druhna i biwak zorganizuje, i wyjazd do planetarium, i taką fajną, zamykaną na potężną kłódkę, kronikę pomoże prowadzić. Prawie zawsze też proponuje zadania międzyzbiórkowe.

W ich wykonaniu pomagają rodzice, którzy naprawdę żyją sprawami drużyny. Kto zrobi kostium krokodyla, potrzebny do inscenizacji? Kto przyniesie z lasu korzeń, na którym postawią w harcówce świeczki? Kto pomoże malować transparenty przed turniejem? Zadania wykonują migiem i... już biegną na kolejne spotkanie, bo druhna Kasia na pewno znów wymyśli coś ciekawego, i wymyśla.

Ich druhna znajduje również czas na pracę w Radzie Hufca, aktywną działalność kiedyś w referacie zuchowym, a obecnie w harcerskim, którego szefową została, na pracę zawodową i studia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Jak dobrze być harcerzem, gdy się ma taką druhnę!

Jolanta Smoja

Wkręty '88

Kiedy „Wkręty" młode były
To na rajdy też chodziły...

O kogo chodzi? Oczywiście o zastęp starszoharcerski „Krzywe Wkręty" z Olsztynka. „Wkręty" rzeczywiście od najmłodszych lat „zarażone" są harcerstwem. Na swoim koncie mają wiele obozów, zlotów i rajdów.

Pomysł na ten rajd przybłąkał się sam. Błyskawicznie znalazło się kilka drużyn chcących przeżyć jeszcze jedną harcerską przygodę i...

Właśnie wróciłam z I Andrzejkowego Rajdu Pieszego „Krzywego Wkręta". Tym razem w rajdowych zmaganiach towarzyszyłam 29 Drużynie Starszoharcerskiej, działającej przy LO w Olsztynku.

Bo to jest „Wkrętów" rajd, te błota i kałuże
„Wkrętów" rajd, nie wytrzymamy dłużej...

Te błota i kałuże były naprawdę. Bo modły o pogodę, zanoszone przez „Diabła", komendanta rajdu, nie zostały wysłuchane. Na dodatek okryła nas swoim śnieżnym płaszczem biała Zima...

Gna po błocie, gna gromada
I dowcipy opowiada...

Uśmiech naprawdę prawie nie schodził z naszych twarzy. Jak przystało na rajd Andrzejkowy, nie zapomniano o wróżbach. Każda drużyna przygotowała na kominek jakąś dobrą, związaną z nimi, zabawę. W rezultacie Marzena była zachwycona, że pierwsza wyjdzie za mąż, gdyż to jej but właśnie spośród wielu innych pierwszy wydostał się za próg. Inne druhenki były niepocieszone. Trudno im się dziwić, skoro w HKT „Kłobuk" jest tylu urodziwych druhów. Ale... my jednak i tak wybrałybyśmy męża spośród naszych „królewiczów", choćby takiego Zielonkę!

Była szampańska zabawa, ale była również i praca: staraliśmy się jak najlepiej wypełnić rajdowe zadania. Chyba się udało, skoro...

Druh Wasylek uśmiechnięty
Wciąż zachwala młode „Wkręty"
Nie chce widzieć smutnej twarzy
Na kominku mile gwarzy...

Chwaliła również Kasia, drużynowa 29 DSH, choćby za to, że nasza „Kanapa-Szantrapa" wygrała konkurs na oryginalną kanapkę. Monika, Sylwia, Aśka, Dorota, Marzena i „Sułek" postarali się o to, by szanowna komisja nie mogła jej strawić. Równie mile i wesoło jak „Wasyl" gwarzyli podczas kominka wszyscy. Podobało się to bardzo Basi i Monice, które były na rajdzie po raz pierwszy i... postanowiły już nigdy żadnego nie opuścić.

A więc „Wkręty" i „Wkręciska",
Chcemy mocno was uściskać
Zróbcie rajdów jeszcze kilka
Tu nam mile mija chwilka.

Proszą o to w imieniu wielu miłośników rajdów Baśka, Monika i Marzena i

Ewa Podhajna

PS. 29 DSH zajęła w rajdowych zmaganiach drugie miejsce. — Światowo! — padło z ust zadowolonej i uśmiechniętej Kaśki jej ulubione słówko. Wygrała 50 DH ze Szkoły Podstawowej nr 1. Brawo „Słoniowaci"! Byliście naprawdę lepsi!

WEZWANIE DONIKĄD

Przecież czekałam na tę sobotę cały długi tydzień... Dlaczego nas zawiedli: mnie, dziewczyny, drużynowego?

— Dziewczyny! Przygotujecie bieg patrolowy? — w głosie drużynowego dźwięczała zbyt wyraźnie nutka prośby.

Zgodziłyśmy się z entuzjazmem. Nareszcie pokażemy naszym chłopaczyskom, że i my potrafimy, choć jest nas w drużynie znikoma liczba. Termin wyznaczyłyśmy od razu — ostatnia sobota listopada...

Oczywiście kolejna zbiórka naszego zastępu poświęcona była tylko i wyłącznie planowanemu wypadowi. To miało być „pójście w nieznane". Jedynym przewodnikiem były mapy. Pozostała jeszcze sprawa zadań na poszczególnych punktach. Te typowe — samarytanka, terenoznawstwo czy historia harcerstwa — urozmaiciłyśmy niekonwencjonalnymi pytaniami, nawet z literatury. Najważniejsza była okolica, gdzie miał się odbyć bieg: nawet się nie spodziewałyśmy tak wspaniałego terenu!

— Prawdziwe Bieszczady! — wykrzyknął drużynowy na widok okazałej górki. Oczywiście umieściłyśmy w tym miejscu kolejny punkt...

Pięć osób (!) uczestniczących w biegu orzekło, że było „fajnie". A my?

Przypomniałam sobie podobny wypad sprzed dwóch tygodni: chociaż dziewięć osób. Tylko że wtedy były to „maluchy", które tym razem nie przyszły. Po prostu ktoś nie dopatrzył, by ktoś inny w porę ich poinformował i... A szkoda, na nich mogłam liczyć w stu procentach. Są zafascynowani harcerstwem. Każdy bieg patrolowy, każda zbiórka to dla nich nowa przygoda.

Czyżby starszym „przejadły" się już mundury i tych ponad siedemdziesiąt lat ZHP?

Z jeszcze radosnym (ciągle jestem optymistką) „Czuwaj!"

K.J.

KIEDY STAJEMY W KRĘGU...

Najpierw obserwowałam harcerzy z boku. Przyglądałam się ich życiu podczas letnich obozów. Spodobało mi się. Wstąpiłam do wspaniałej drużyny.

ZHP okazało się czymś cudownym, dodającym uroku jakże szaremu nieraz życiu. Pokochałam biwaki, wędrówki po lesie, ogniska, wspólne śpiewanie i gawędy, kominki, poważne rozmowy i wygłupy, obozowe nocne warty, a nawet służbę w kuchni. I uważam się za harcerkę prawdziwą.

Niestety, przeniosłam się do stolicy. W tej chwili należę do drużyny, w której nie dla wszystkich harcerstwo jest aż tak wspaniałe i ważne jak dla mnie. „Harcerzy" tych mało obchodzi, że w harcówce jest bałagan i szarość, że niektórzy zupełnie nie wywiązują się ze swoich obowiązków, że drużynowa coraz częściej nie daje sobie rady, bo jej prośby prawie nigdy nie są spełniane itd., itd.

Kiedy stajemy w kręgu, patrzę z przerażeniem na ich zachowanie: śmieją się, kopią, rozmawiają, a gdy zostanie puszczona iskra, specjalnie ściskają swych sąsiadów tak mocno, że ci aż jęczą z bólu.

Nie wspominam już o ich słownictwie oraz zamiłowaniu do picia i palenia. Niedawno po zbiórce drużyny jeden z druhów zaproponował mi papierosa!

Aż wreszcie zaczęło mnie ogarniać zwątpienie: czy istnieją jeszcze prawdziwi harcerze, tacy, którzy są nimi nie tylko z nazwy? Wierzę, że są, wiem, że są, tyle że rozsiani po całym kraju. Ich liczba wciąż się chyba jednak zmniejsza. Być może się mylę, być może jest ich dużo, a tylko ja nie mam szczęścia i dlatego trafiłam na tak źle zorganizowaną drużynę. Próbowałam coś w niej zmienić. Nie udało się.

Teraz już tylko marzę, by na moim horyzoncie pojawiła się drużyna, do której mogłabym się bez żadnych wątpliwości i bez wahania przenieść. I razem z nią udowadniać na co dzień światu, że są jeszcze harcerze prawdziwi.

Dorota z Warszawy

List do przyjaciela

BYŁ ZUCHEM, HARCERZEM...

Odszedłeś, zostawiłeś nas samych. Mówią, że życie jest piękne. Tak, ale tylko wtedy, gdy jest gorącym spójnym kręgiem. Kiedy pęka choćby jedno ogniwo, krąg rozpada się.

Gdy śmierć dotyka innych, obcych, nie cierpimy, dopiero...

Odszedłeś nagle. Jeszcze nie zdążyliśmy się z tym pogodzić, oswoić. Ale przecież nie pogodzimy się nigdy.

Zostawiłeś nam jedno: wspomnienia. One są Tobą.

Pamiętasz? To był mój pierwszy obóz. Bardzo się bałam, tym bardziej, że akurat zostałam zastępową. Wszystko było nowe, a już najgorsze te nocne warty. Dziewczyny narzekały, że zimno, chce się spać, a ja bałam się samotności. Zauważyłeś te obawy smarkuli. Jak bardzo mi wtedy pomogłeś! To z pozoru naiwne pytanie: „Jesteś głodna? Nie ma sprawy, usmażymy frytki!"

Wiem, oboje naruszyliśmy regulamin, ale... czuję smak tych frytek do dziś.

Tak, płaczę, bo tęsknię. Płaczę z rozpaczy, z bezsilności. Dlaczego nie mogę zmienić losu?!

— Jakubie — harcerzu, nie wstajesz, gdy brzmi hasło „Czuwaj!" Maturzysto! To już ostatni szkolny dzwonek, a Ty nie wstajesz?! — tymi słowami żegnał Cię tata, żegnam i ja, żegnają Twoi profesorowie, koledzy ze szkolnej ławy, z drużyny...

Jakub Frank zmarł 3 grudnia 1988 roku, przeżywszy 19 lat. Był zuchem, potem harcerzem, instruktorem. Odszedł od nas, mimo że tak bardzo pragnął żyć.

Kajka z Choroszczy
113 BDHS „Kanał"

Zanim zapalisz...

Piszę, bo mam nadzieję, że jeśli ten list zostanie wydrukowany, przeczyta go chociaż część ludzi, o których chcę pisać. Jestem wesołą nastolatką i mogę powiedzieć, że jestem zdrowa (fizycznie i psychicznie).

A za chorych uważam tych wszystkich, którzy szukają pocieszenia w butelce wina i paczce papierosów. Nie chodzi o dorosłych, ale o Was, o 13, 14, 15 (itd.) -latków. Potępiam wszystkich ludzi, którzy mówią do mnie: „jesteś jeszcze zielona — nie wiesz co to życie; zapal — będziesz dorosła". A tak nie jest.

Powiecie: — „ale się wymądrza!". Nieprawda, piszę to, co widzę wśród moich „dorosłych" koleżanek. One palą, widzą w tym tylko przyjemność, a nie myślą jak wyglądać będą ich płuca za kilka lat. Proszę wszystkich, którzy mają coś do powiedzenia na ten temat, o napisanie do „RP".

Hej!
„Panienka"

Nie potrafimy się zgrać

Drogi „Różowy Pasku" piszemy do ciebie, ponieważ bardzo irytuje nas zachowanie naszej klasy. Rok temu byliśmy jedną z najlepszych klas pod względem zachowania i nauki. Natomiast w tym roku staliśmy się jedną z najgorszych. Chodzimy teraz do szóstej klasy, a nasze zachowanie (zwłaszcza niektórych chłopców) jest na strasznym poziomie. Na lekcjach panuje nerwowa atmosfera, nauczyciele krzyczą na nas. Jesteśmy niezgrani, nie potrafimy wspólnie zorganizować imienin żadnego z nauczycieli, a zbiórkę pieniędzy lub makulatury musimy rozpocząć kilka tygodni przed terminem.

Dziewczyny nawzajem się obgadują. Podczas gdy nauczyciel prowadzi lekcję i wykonuje z nami zadania i ćwiczenia, często padają głupkowate słowa i powiedzonka, np.: „przecież to jest świnka morska" itp. Prymusi ze złośliwą kpiną i przekąsem dogadują nauczycielom.

Klasa nasza „zepsuła się" już w ubiegłym roku, kiedy doszło do nas kilku nowych uczniów.

Piszemy do was gdyż wiemy, że wiele jest takich klas, które stwarzają kłopoty. Sądzimy, że może po przeczytaniu tego listu niektórzy nasi koledzy postanowią zmienić swoją postawę względem klasy. Bardzo prosimy o wydrukowanie naszego listu, gdyż twierdzimy, że zawarta w nim sprawa dotyczy wielu klas.

„Smurfetka" i „Greta Garbo"
z Częstochowy

Jak można przyjść do szkoły w skórzanym stroju?

Bardzo oburzył mnie list „Milejdi" z nr. 123 „ŚM". Jak można przyjść do szkoły w skórzanym stroju i jeszcze obrażać się, że któryś z belfrów zwróci na to uwagę, i w dodatku przestać mówić mu „dzień dobry"?

Myślę, że słusznie postąpiła nauczycielka obniżając „Milejdi" (jaki pseudonim — ho-ho!) ocenę z zachowania.

Ta dziewczyna uważa, że jeśli ma ojca na Zachodzie i fajne ciuchy, to może robić wszystko. Wydaje jej się, że koleżanki powinny rozmawiać przede wszystkim z nią, słuchać z uległością, być na każde jej skinienie.

Nie znam „Milejdi" i nie mam jej czego zazdrościć, a jednak już na początku listu poczułam do niej antypatię. I na pewno to samo czują jej koleżanki.

Aśka

Tematy z Polski

PRZEPRASZAM — gdzie jesteś?

Ileż to już lat istnieje mowa ludzka, a stosowne słowa wypowiada się w pewnych okolicznościach niejako automatycznie, wszelkie „dzień dobry", „dziękuję", „przepraszam". Poznając obcy język tych właśnie zwrotów uczymy się najszybciej — znamy je nieraz w kilku językach, by zaszpanować, gdy przyjdzie fantazja. Ale na co dzień? Słowo ***przepraszam*** tak ogromnie potrzebne w codziennym tłoku w sklepach, w autobusach i innych środkach lokomocji, i miejscach publicznych jakby wstydliwie zniknęło.

W szkole, gdy w szaleństwie wypadacie z klasy na korytarz nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, młócąc łokciami tych nieco delikatniejszych, niższych wzrostem lub poruszających się w nieco wolniejszym tempie — jakże rzadko używacie słowa: ***przepraszam.*** A naprawdę ono sporo znaczy, miło jest je usłyszeć potrąconemu. To wcale nieprawda, że nadepnięta stopa boli po ***przepraszam*** tak samo, a przygniecione żebro nie pozwala na zaczerpnięcie głębszego oddechu. To znaczy noga boli, żebro też, ale „Ja" szturchniętego i nadepniętego nieumyślnie czuje się znacznie, znacznie raźniej! Oto niezręczność, nieuwaga, nie chciana brutalność zostały załagodzone tym tylko dawno ustanowionym na taką okoliczność zwrotem: ***przepraszam.***

A może w tej narastającej agresywnej atmosferze ***przepraszam*** gdzieś się zapodziało? ***Przepraszam,*** gdzie jesteś?

Idę sobie wczoraj Nowym Światem w Warszawie, taka elegancka ulica, a tu jak mnie ktoś nie rąbnie ramieniem! No, myślę — ale nie wychowany! Robię parę kroków dalej i co stwierdzam „ten nie wychowany", to przecież nasz były kolega redakcyjny, który tak wszystkie panie kurtuazyjnie cmoka w rączkę! Widzę — stoi przed witryną księgarni. Przystanęłam, witam się. On, a jakże „cmok". Mówię z przyganą: „Przed chwilą, gdy mnie wymijałeś, zawadziłeś mnie ramieniem aż się zachwiałam". „A, to niechcący" — stwierdza z rozbrajającym uśmiechem. A ja, naiwna, myślałam, że odnajdzie zwykłe ***przepraszam.***

„A to do widzenia" — rzekłam i poszłam przed siebie Nowym Światem. Tylko zastanawia mnie, gdzie to ***przepraszam*** się zapodziało? Gdzie jesteś, ***przepraszam!*** — krzyknęłam na Nowym Świecie. Obejrzał się tylko jakiś staruszek, ale nic nie powiedział...

Parę lat temu cały miesiąc spędziłam w Nowym Jorku. Smakując miasto, prawie z pustą kieszenią szwendałam się po Piątej Alei i sąsiednich ulicach. Zaglądałam do muzeów i sklepów dużych i małych, rano i podczas pory lunchu, gdy z banków i rozmaitych przedsiębiorstw wysypuje się gęsty tłum, by podczas przerwy w pracy coś przekąsić na mieście lub spotkać się ze znajomymi. Ileż ja w tej ludzkiej ciżbie nasłuchałam się uprzejmych ***przepraszam!*** Wypowiadano je w sytuacji, gdy nikt mnie nie potrącił, nie dotknął nawet, ale prawie że musnął rękaw mojego płaszcza. Czyżby ***przepraszam*** po angielsku wymawiało się łatwiej? Zauważyłam, że i słowo „proszę" ma tam jakby większe zastosowanie! Zamiast napisów „Nieczynne" (co zdarza się niesłychanie rzadko, bo nie opłaca się nic zamykać, gdy innym jest potrzebne) widnieją wywieszki „Następne okienko, proszę". Prawda jak to zachęcająco brzmi? Że też nikt u nas nie wpadł na taki pomysł! Choćby na poczcie. Tylko, że ...na pięć okienek czynne jest tylko jedno, należałoby zatem jakoś to przeredagować. „Zapraszamy do następnego okienka" mogłoby nie być informacją prawdziwą. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że w takiej sytuacji, gdy praca szuka człowieka, a nie człowiek pracy, jedynie słuszną i rzeczową, a i rzetelną informacją jest treściwa wywieszka: „Nieczynne". Ha, „proszę" nie pasuje! Ale ***przepraszam?***

Tu przypomniała mi się pewna pani pułkownikowa, przedwojenna zresztą i owdowiała. Imała się różnych sposobów, by wyżywić i wykształcić dwoje podrastających dzieci. Było to tuż po wojnie, wdowy po „sanacyjnych" oficerach nie były wówczas zbyt przyjaźnie traktowane, ale jakoś sobie radziła. Mieszkając w niewielkim nadburzańskim miasteczku, dysponowała kilkoma zagonami ziemi. Postanowiła uprawiać ogórki, a następnie kisić je w beczkach, by sprzedać wtedy, gdy były w cenie. Owe ogórki stały się wkrótce źródłem utrzymania wdowy i jej dzieci. Plantacja niby niekłopotliwa, wymagała przecież niemałej pracy. Trzeba było ziemię dobrze uprawić, nachylać się nad chwastami, a na dodatek i namartwić. Ogórek jest — choć nie śpiewa — kapryśnym warzywem, a egzemplarze przeznaczone do kwaszenia na zimę — szczególnie! Niezbyt długie chwile odpoczynku zapracowana kobieta spędzała zawsze w porządnej sukni. Dopiero gdy była elegancko odziana, brała do ręki książkę, lub któryś raz z rzędu, list od dzieci i, siadając w wysłużonym fotelu, przenosiła się w inny świat. Dzieci nie mogły jej zbyt często pomagać, do gimnazjum chodziły w powiatowym mieście, a potem jeszcze dalej od domu odsunęły je studia. Po godzinie relaksu pani pułkownikowa podnosiła się z fotela i mówiła do siebie: „Skidaj swoi szaty, idy swyniam mieszaty". Zapamiętany z dzieciństwa spędzonego na kresach zwrot wydawał się jej ogromnie stosowny do okoliczności. Powiedzonko sprowadzało ją na ziemię: poświętowałaś, odpoczęłaś sobie, teraz zabieraj się do roboty. Przebierała się w roboczą odzież i z nowym zapasem energii szła na swoje zagony, albo i do chlewika, bo w nim coś chrząkało.

Myślę, że nie muszę na polski tłumaczyć powiedzonka pani pułkownikowej? Chodzi mi przede wszystkim o stosowne zachowanie na stosowne okoliczności.

Hej, ***przepraszam,*** gdzie jesteś?

A. GRZYBOWIECKA

Od połowy lat siedemdziesiątych powraca na łamy pism — nie tylko fachowych, ale i codziennych — pewien sensacyjny temat. Jednak, mimo iż poświęcono mu dotąd sporo uwagi, do dzisiejszego dnia nie doczekał się on jednoznacznych ocen...

CZY „OZONOWA DZIURA" STANOWI NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA ŚWIATA?

Ozon jest odmianą tlenu występującą w trójatomowych cząsteczkach. W atmosferze ziemskiej wykryć go można w ilości niewielkiej: około 3 cząsteczki tego gazu przypadają na 10 milionów cząsteczek składowych powietrza. Ale pełni rolę ogromnie ważną — zatrzymuje pewną część promieniowania ultrafioletowego dochodzącego ze Słońca. Dzięki ozonowi właśnie to szkodliwe promieniowanie dociera do Ziemi osłabione i nie może nam wyrządzić większej szkody. Nie ma się więc co dziwić, że odkąd czynne są urządzenia do badań stanu naszej atmosfery — a szczególnie jej najwyższych warstw — zainstalowane na sztucznych satelitach, przeprowadzane są systematyczne pomiary ilości ozonu w płaszczu otaczającym Ziemię.

I oto na początku lat siedemdziesiątych dwaj amerykańscy uczeni S. Rowland i M. Molina opublikowali teorię, z której wynika, że warstwa ozonu w najwyższych partiach atmosfery ziemskiej jest zagrożona. Dzieje się tak na skutek uwalniania się w powietrzu ogromnych ilości pewnych gazów zwanych freonami. Ich produkcja w ciągu ostatnich dziesięcioleci systematycznie wzrasta, gdyż stosuje się je np. jako chłodziwo w lodówkach i urządzeniach klimatyzacyjnych, wszelkiego rodzaju kosmetykach aerozolowych, przy produkcji pianek służących do opakowań czy w gaśnicach pianowych. Niektóre freony — bo jest ich wiele różnych rodzajów — znajdują również zastosowanie jako rozpuszczalniki.

Te przezroczyste i bezzapachowe związki praktycznie są niezniszczalne. Raz wprowadzone do atmosfery mogą w niej krążyć ponad sto lat, ulegając kolejnym przeobrażeniom pod wpływem promieniowania ultrafioletowego. W czasie tych przemian z freonów uwalnia się agresywny chlor atomowy, który rozkłada ozon wchodząc z nim w reakcję. Rowland i Molina zagrożenie freonowe nazwali „bombą z opóźnionym zapłonem", co jest określeniem niezwykle trafnym. Bowiem związek ten, uwolniony na Ziemi, dociera do najwyższych warstw atmosfery dopiero po około 10–20 latach. Czyli gdybyśmy już dziś — co jest oczywiście w praktyce nie do zrealizowania — przerwali użytkowanie freonów, to jeszcze przez całe dziesięciolecie proces niszczenia ozonu trwałby nieprzerwanie.

CZY JEST RZECZYWIŚCIE AŻ TAK ŹLE?

Fakt, że nad Antarktydą stwierdzono istnienie ogromnej, liczącej setki kilometrów średnicy „dziury ozonowej" — nie ulega wątpliwości. Potwierdzają to zdjęcia wykonane przez satelitę „Nimbus", wg których zrobiono rysunki zamieszczone obok. Widać na nich, że zawartość ozonu nad tym punktem kuli ziemskiej jest zmienna zarówno w czasie jak i w przestrzeni. Dziura to rozszerza się, to zwęża, to tworzy pierścienie o różnym kształcie. Stanowi więc na pewno zagrożenie, i to będące wynikiem nieprzemyślanych działań w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat...

— To nie jest takie pewne, jak się wydaje na pierwszy rzut oka — powiadają na to inni badacze. — Wszak słynny wybuch wulkanu Krakatau, jaki wydarzył się w r. 1883 wprowadził do atmosfery o wiele więcej chloru niż powstanie go do 2010 r. z rozkładających się freonów. Jeśli oznowy płaszcz otaczający Ziemię wytrzymał wówczas to uderzenie, to dlaczego nagle teraz miałby ulec rozerwaniu? Oprócz tego: dlaczego ta dziura tworzy się tylko nad Antarktydą, a nad Arktyką jej nie ma? Przecież oba bieguny są tak samo oświetlone Słońcem. Warto też zwrócić uwagę na fakt, iż nie tylko zmienia ona swój kształt i wielkość, ale w niektórych porach roku — prawie znika. Być może więc jest to zjawisko naturalne, tyle, że dopiero w ostatnich latach zwróciliśmy na nie uwagę. Jeśli działalność wulkaniczna, trwająca wszak na Ziemi od milionów lat, nie zniszczyła dotąd całkowicie ozonowego płaszcza, to widocznie istnieje jakiś nieznany nam jeszcze mechanizm, który powoduje jego stałe uzupełnianie. Odpowiedź na pytanie: jak jest naprawdę? będzie więc można dać dopiero po wielu dziesiątkach lat obserwacji.

Przedstawiłem Wam dwa spojrzenia na tę sprawę, pasjonującą ostatnio badaczy i uczonych. Jest ona jednak ważna nie tylko dla świata nauki, lecz i dla nas wszystkich. Zmniejszona zawartość ozonu — w skali globalnej w ciągu ostatnich lat — to nie tylko zwiększenie promieniowania ultrafioletowego powodującego po przedawkowaniu nowotwory skóry, a nawet ślepotę. To również zwiększenie średniej temperatury Ziemi, na skutek jej większego nagrzania. Ponieważ zaś coraz więcej jest w atmosferze również dwutlenku węgla, ciepło to jest w coraz większym stopniu zatrzymywane na Ziemi. Zjawisko to nazywane jest często tzw. efektem szklarniowym. Co prawda zadymienie i zanieczyszczenie atmosfery pyłami stanowiącymi uboczny produkt działalności ludzkiej równocześnie zmniejsza nasłonecznienie, ale średnia temperatura Ziemi jednak nieustannie wzrasta.

O niebezpieczeństwie wzrostu zawartości CO_2 w atmosferze na skutek wycinania dużych połaci lasów i spalania różnych produktów pisze się i mówi od dawna. O freonach i ozonie — na dobre dopiero od kilku lat. Ale powstała już międzynarodowa konwencja, która postawiła sobie za zadanie badania i — gdzie to jest tylko możliwe — zmniejszanie produkcji freonów oraz przechodzenie na inne pełniące podobną rolę związki.

W Polsce badaniami natężenia promieniowania ultrafioletowego i zawartością ozonu w atmosferze zajmuje się od wielu lat obserwatorium geofizyczne PAN w Bielsku. Mamy więc dostęp do danych i możliwość ich porównywania, a mimo to — jak dotąd — Polska do konwencji nie przystąpiła. Jest to tym dziwniejsze, że freonów nie produkujemy u siebie, tylko je sprowadzamy. Kontrola nad nimi jest więc o wiele łatwiejsza i tańsza niż w innych krajach.

Niezależnie jednak od tego, czy „ozonowa dziura" stanowi niebezpieczeństwo duże czy małe, warto zdać sobie sprawę z faktu, iż jest to jeszcze jeden kłopot o zasięgu globalnym. I można go rozwiązać tylko działaniami obejmującymi całą Ziemię...

JERZY DĄBROWSKI

Oprócz badań stratosfery za pomocą aparatów instalowanych na sztucznych satelitach Ziemi prowadzone są pomiary z jej powierzchni. Na zdjęciu: radziecki lidar — urządzenie służące do sondowania najbliższych okolic naszej planety. Jest połączeniem lasera z elektronicznym urządzeniem do przetwarzania danych

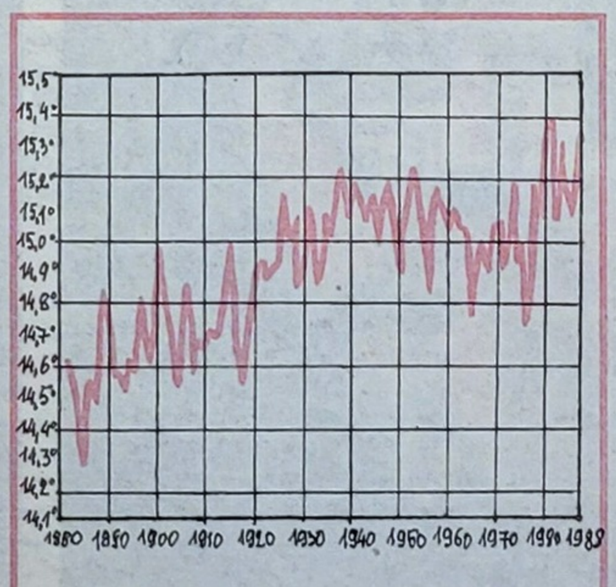

Wykres „gorączki" naszej planety. U dołu zaznaczone są lata, z lewej strony temperatury w skali Celsjusza. Widać z tego wykresu, że średnia temperatura roku powoli i z pewnymi wahaniami, ale jednak, rośnie. W ciągu ostatnich stu lat podniosła się o około 1°C...

Zmiany w wielkości i kształcie „ozonowej dziury" — zaznaczonej kolorem — nad Antarktydą. Dane widoczne na rysunku uzyskano w kolejnych latach na przełomie września i października. Oczywiście słowo „dziura" używane jest w przenośni, bowiem w tym miejscu znajduje się strefa ozonu o zmniejszonej koncentracji — a nie całkowity jego brak

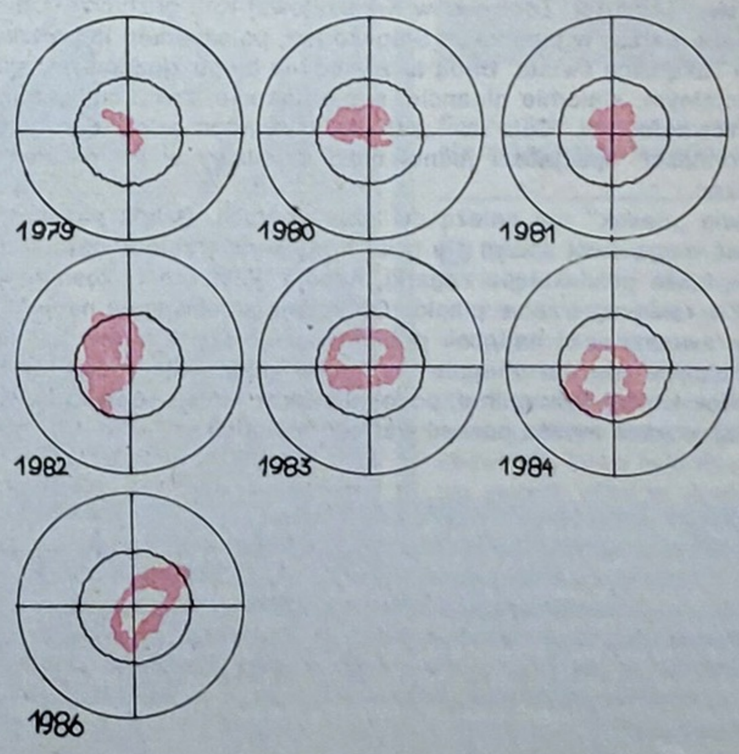

W KRAINIE FANTAZJI

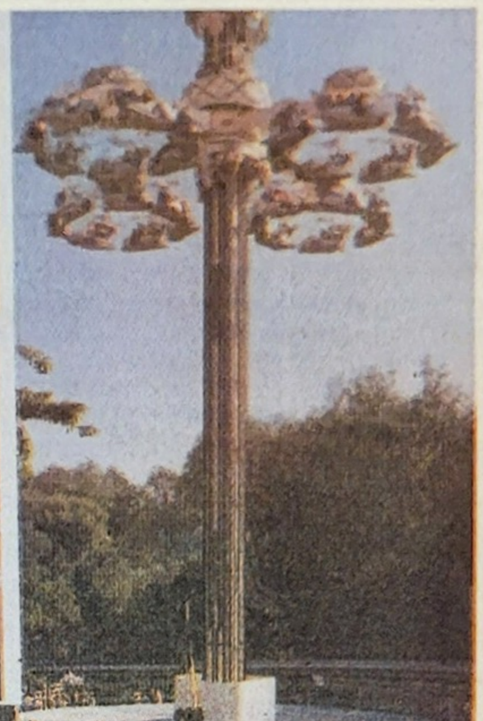

SPACE CENTER — centrum kosmiczne. To brzmi obiecująco. Wchodzę więc — w towarzystwie innych amatorów pozaziemskich wrażeń — w wąskie drzwi prowadzące w głąb gigantycznej srebrzystej hali. W środku rzeczywiście panuje nastrój prawdziwie kosmiczny. Posuwam się ciasnym korytarzykiem o romboidalnym kształcie. Z sufitu mży rozproszone błękitne światło, a ukryte gdzieś głośniki szemrzą strzępkami meldunków, słychać fragmenty rozmów między astronautami. Korytarzyk ciągnie się ku górze, potem skręca w lewo i właśnie za tym zakrętem staję nagle oko w oko z olbrzymim stworem, który potrząsając wymierzoną w moją stronę jakąś dziwną bronią, bełkocze coś niezrozumiale. Rychło okazuje się, że to po prostu elektroniczna kukła. Obok niej poruszają się (a nawet mówią!) inne postacie rodem z filmów science-fiction: robot C-3PO z „Gwiezdnych wojen", księżniczka Leia...

Idę dalej i wkrótce po ażurowych schodach wchodzę na metalowy stelaż, ulokowany w przestronnym pomieszczeniu. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, słyszę głuchy rumor i na miniaturowy peron wtacza się ze świstem pneumatycznych hamulców... kosmiczna rakieta. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka, w rzeczywistości jednak jest to tylko szereg otwartych wagoników, w których sadowią się amatorzy mocnych wrażeń. Wsiadam i ja. Zagłębiam się w ergonomicznie wymodelowany fotelik. Gruba, wygięta rama z tworzywa sztucznego opada przyciskając mnie w udach i w pasie do siedzenia. Próbuję się poruszyć... Nic z tego. To lepsze niż pas w samolocie.

Lot w nieznane

Po krótkiej chwili nasza „rakieta" rusza. Wagonik za wagonikiem znika w ciemnej czeluści. Po chwili czarna otchłań pochłania także i mnie. Usiłuję przyzwyczaić wzrok do ciemności, ale na nic się to nie zdaje. Nie widzę nawet własnej ręki przytkniętej do nosa. Nie mam zresztą wiele czasu na takie eksperymenty. Raptem bowiem cały pojazd z łoskotem wali się gdzieś w dół po zacieśniającej się coraz bardziej spirali. Jedynie opasującej mnie ramie zawdzięczam, że nie pofrunąłem w górę. W ostatniej chwili łapię swoje okulary, które najwyraźniej chcą się poruszać w innym niż ja kierunku. Za chwilę olbrzymie przeciążenie wciska mnie w fotel, gdy wagonik z olbrzymią prędkością wystrzeliwuje ku górze.

Jakby tych emocji nie było dosyć, nagle otaczającą mnie ciemność rozcinają laserowe błyski. W ich blasku dostrzegam w oddali majestatyczny dysk statku kosmicznego. Nagłe szarpnięcie niesie mnie w bok i nieoczekiwanie znajduję się w samym centrum gwiezdnej wojny. Rakietoplany szybują wokół strumieniami kolorowego światła, kosmiczne myśliwce przemykają obok z ogłuszającym rykiem silników... Już po kilkunastu sekundach takiej zabawy gubię orientację w przestrzeni. Brak zresztą jakichkolwiek punktów odniesienia. Tak jak w najprawdziwszym kosmosie. Rzucany w górę, na dół, na lewo, na prawo i Bóg jeden wie w jakim jeszcze kierunku, tracę świadomość czy ja jeszcze siedzę, czy może właśnie wiszę głową w dół.

Piekielna jazda nie trwała dłużej niż 10 minut, ale wszyscy pasażerowie kosmicznej kolejki z wyraźną ulgą opuszczali wagoniki. Ja także z radością wyszedłem „na stały ląd". Stanąłem przed srebrzystą halą i wtedy przed moimi oczami roztoczyła się wspaniała panorama największego w Europie wesołego miasteczka. Był to

Phantasialand

Wybudowany w Republice Federalnej Niemiec w miejscowości Brühl koło Kolonii, od blisko 30 lat ściąga gości z całego kontynentu. Zwłaszcza w soboty i niedziele „kraina nieograniczonych możliwości" (jak głosi slogan reklamowy) dosłownie pęka w szwach. Główną arterią Phantasialandu jest berlińska uliczka z lat dwudziestych, odtworzona w skali 1:2. Zamyka ją klasycystycznym akcentem słynna Brama Brandenburska. Starzy berlińczycy z łezką w oku przechodzą pod jej arkadami. W prawdziwym Berlinie, przedzielonym granicą, jest to niemożliwe. Następnie, w licznych barach i restauracjach raczą się smakołykami, którymi do dzisiaj słynie miasto nad Szprewą: golonką z grochem, słynnym orzeźwiającym „weisse mit schuss" (jest to niedojrzałe piwo z sokiem) oraz migdałowymi ciasteczkami. „Mały Berlin" dba także o strawę dla ducha. W okolicznych kabaretach i teatrzykach występują gwiazdy estrady, wokół słychać dźwięki muzyki...

Jednak nie artystyczne produkcje, a w każdym razie nie przede wszystkim one, ściągają tu tłumy turystów. Największym magnesem jest wspomniane już Centrum Kosmiczne, a ponadto kolejka górska pędząca po wysokich rusztowaniach, karuzela Condor, zatopione miasto, motorowe balie pływające po jeziorze i mnóstwo innych atrakcji.

Wszystkie wspaniałości Phantasialandu najlepiej obejrzeć można z okien kolei jednoszynowej — Monorailu. Trasa tego w pełni klimatyzowanego pociągu wiedzie ponad najciekawszymi instalacjami wesołego miasteczka. A dobiegający z głośników głos przewodnika zwraca uwagę podróżnych na przesuwające się za oknem atrakcje.

Oto meksykańska kopalnia srebra. W naturalistyczny sposób odtworzone postacie górników, konie ciągnące wózki z urobkiem, a tuż obok

„Narciarska karuzela" nabiera rozpędu

Narciarski Puchar Świata 1988–9 rozpoczął się już na dobre. Wprawdzie nie wszędzie leży odpowiednia warstwa śniegu, a w Alpach nadal dominują jesienne barwy — armatki produkujące biały puch działają bez względu na przychylność aury, dzięki czemu zjazdowcy mogli wystartować. Ta impreza rządzi światowym narciarstwem od lat. Panują nawet takie opinie, że zwycięstwo w PŚ ma większą wartość aniżeli olimpijskie „złoto". Jest w tym wiele racji. Na igrzyskach wygrywają czasami mało znani zawodnicy, do których uśmiechnął się los, którzy błysnęli jednodniową formą, którym pomogły np. pechowe upadki faworytów. W pucharowych zmaganiach tryumfatorów wyłania się po walce trwającej kilka miesięcy. Wszelkie przypadki są wykluczone.

CENA KRYSZTAŁOWEJ KULI

Imprezę rozpoczęto w roku 1966 z inicjatywy szwajcarskiego dziennikarza sportowego pracującego we Francji, Serge Langa. Główną nagrodę stanowi do dziś Wielka Kryształowa Kula firmy „Evian". Samo trofeum jest raczej symboliczne, ale kryją się za nim ogromne pieniądze, które otrzymują ostateczni zwycięzcy. Puchar Świata (podobną rywalizację wprowadzono później dla przedstawicieli wielu innych dyscyplin) ma więc swoją cenę i gromadzi na starcie najwybitniejszych zjazdowców. Różnie liczono dotąd punkty, ale zawsze główne nagrody zdobywali najlepsi z najlepszych. Bo jak może być inaczej, skoro do klasyfikacji wlicza się dorobek z całej zimy? Obecny sezon rozpoczął się już 26 listopada, supergigantami dla pań i panów, które rozegrano w Schladming (Austria). Zdobywców Kryształowej Kuli poznamy dopiero w połowie marca, w japońskim Shigakogen, po szesnastu imprezach w różnych zakątkach świata. Będą to zawody w biegu zjazdowym, slalomie specjalnym, slalomie gigancie, supergigancie, tzw. kombinacji i slalomie równoległym. Cała ta „zabawa" wymaga więc ogromnej wszechstronności. Specjaliści jednej tylko dziedziny w PŚ nie mają czego szukać.

Mistrzowie „desek" nie należą do ludzi ubogich. Dzięki pucharom reklamować mogą swój sprzęt nie tylko firmy wytwarzające narciarski sprzęt, ale także produkujące zegarki, napoje, komputery, kosmetyki, ubiory... Za reklamę trzeba płacić. Oblepieni stosownymi napisami zjazdowcy, zwłaszcza ci najlepsi, pobierają więc spore sumki „zielonych". Właściwie nie ma obecnie narciarza, który walczy dla samej przyjemności. I w tej dyscyplinie, podobnie jak w tenisie, doszło do tego, że po zarobkach można poznać wartość zawodnika.

SLALOM SPECJALNY — konkurencja polegająca na możliwie prędkim pokonaniu odcinka, który wyznaczają na stoku bramki. Rozgrywana jest na dwóch różnych trasach, w dwóch przejazdach. Start w drugim przejeździe odbywa się wg kolejności czasów uzyskanych w pierwszym. Różnica spadku od startu do mety 180–200 m (mężczyźni) i 130–180 m (kobiety). W SLALOMIE RÓWNOLEGŁYM startuje jednocześnie dwóch zawodników na identycznie wytyczonej trasie.

Pirmin Zurbriggen chce wygrać PŚ po raz czwarty

Alberto Tomba, dwukrotny złoty medalista igrzysk w Calgary, także marzy o Kryształowej Kuli

górnicza karczma, w której wąsaci *pistoleros* podziwiają czarnowłose dziewczęta pląsające w rytmie gitar. Równo 120 figur ludzi i zwierząt sterowanych za pomocą elektronicznej aparatury odtwarza sceny z życia meksykańskich górników, wieśniaków i... bandytów.

Tam gdzie Kanada graniczy z Meksykiem

Monorail kołysząc na zakrętach jedzie dalej i wkrótce okazuje się, że tutaj naprawdę wszystko jest możliwe. Zaledwie kilka kroków dzieli bowiem ,,Meksyk'' od ,,Kanady''. Gondola kolejki zawisa nad kilkunastometrowej wysokości górskim wodospadem. Kaskady wody lecącej w dół rozpryskują się tworząc opalizujący wodny pył. W promieniach słońca widzę, jak do krawędzi wodospadu podpływa wydrążony pień drzewa, z siedzącymi w środku trzema chłopcami. Słyszę piski przerażonych pasażerów dłubanki, która przechyla się przez skalny próg. Wkrótce jednak strach ustępuje radości, kiedy to drewniany pojazd pędzi wśród wodnych rozbryzgów środkiem specjalnie wyprofilowanej rynny, którą wyłożone jest koryto wodospadu.

Jeszcze chwila i z okien jednoszynowego pociągu roztacza się widok na orientalny krajobraz. Ze wszystkich stron widać wygięte ku górze dachy chińskich pagód. Setki lampionów kołyszą się na lekkim wietrze oświetlając drżącym blaskiem zastawione stoły w głębi mrocznych lokali. Słyszę zaproszenie do odwiedzenia teatrzyku Tanagra, gdzie występują chińskie marionetki. Ja jednak, jako zawzięty kinoman, spieszę przede wszystkim do CINE-2000, kina przyszłości. Opuszczam więc gondolę kolejki i pędzę do kolistego budynku skrytego pod żółtą kopułą.

Niezwykły seans

Wchodzę do wnętrza w momencie, gdy właśnie rozpoczyna się projekcja. Ekran jest olbrzymi, półkoliście wygięty i sięga od poziomu podłogi aż po punkt nad moją głową; a od lewej ku prawej stronie obejmuje kąt 180 stopni. W efekcie widz wręcz ,,objęty'' jest wyświetlanym obrazem i wszystkie zmysły reagują tak, jakby się było bezpośrednim uczestnikiem akcji wyświetlanego filmu.

Już pierwsze kadry zapierają dech w piersiach. Widzę kanion rzeki Colorado, filmowany z pędzącego między stromymi ścianami helikoptera. Mam absolutne złudzenie, że sam znajduję się w kabinie śmigłowca i że to właśnie pod moimi nogami przemykają ostre granie, przepaściste doliny i wąwozy. Wrażenia są tak silne, że znaczna część audytorium nie może powstrzymać się od okrzyków przestrachu.

Za chwilę jeszcze mocniejszy efekt. Kamerę zainstalowano na dziobie samolotu wznoszącego się nad zabudowania San Francisco. Czuję jak gdybym osobiście wznosił się nad olbrzymią metropolią, zatoką Golden Gate i majestatycznym oceanem. Ten wspaniały widok niknie jednak gwałtownie, gdy nos samolotu ściągnięty zostaje ku ziemi i po chwili maszyna zaczyna wirować w opętańczym korkociągu. Niektórzy widzowie walą się jak kłody na podłogę (seans ogląda się na stojąco). Ja trzymam się jakoś na nogach, ale tylko dlatego, że z całych sił ucapiłem się barierki oddzielającej kabinę operatora.

Kalejdoskop obrazów ciągnie się dalej. Jazda po torze wyścigowym, pościg policyjnym wozem za uciekającymi bandytami, pętla, którą wykonujemy wraz z kamerą umocowaną do wagonika największej na świecie amerykańskiej kolejki górskiej...

Kiedy wychodzę z tego niezwykłego kina, naprawdę kręci mi się w głowie. Patrzę na zegarek — dochodzi 19.00. Muszę więc opuścić tę krainę fantazji, która wkrótce zamknie swoje podwoje. A nie obejrzałem przecież nawet ćwierci jego atrakcji. Rację więc mieli ci moi znajomi, którzy przestrzegali mnie, że nawet cały dzień to za mało, aby choć pobieżnie zaznajomić się z tym europejskim odpowiednikiem Disneylandu. No cóż, może uda mi się tu trafić raz jeszcze. Czego zresztą życzę także i Wam.

MICHAŁ MALICKI
Fot. **archiwum**

GLADIATOR W AKWARIUM

Bojownik syjamski *(Betta splendens)* z racji swej urody zwany wspaniałym, jest znany wszystkim akwarystom. Każdy miał go w swoim akwarium lub przynajmniej widział w sklepie zoologicznym. Jest to rybka polecana wszystkim, także początkującym miłośnikom akwarystyki. Ogólnie wiadomo, że dwa samce nie mogą być razem w jednym akwarium, a i samica nie zawsze jest bezpieczna w obecności samca.

Samce są rzeczywiście bardzo piękne i bardzo agresywne. Ludzie wykorzystali obie cechy bojowników. Ich urodę udoskonalono w formie wielobarwnych standardów o wydłużonych płetwach, a agresywność samców

stała się podstawą swoistego hazardu uprawianego w niektórych krajach Azji, gdzie przeprowadzane są walki bojowników na wzór walk kogutów. Ze względów humanitarnych w Europie nie prowadzi się tego typu ,,zawodów''.

Bojowniki są rzeczywiście piękne i mogą być ozdobą każdego akwarium, pod warunkiem, że zamieszkujące je ryby będą dość duże i silne. Nasz gladiator może okazać się tyranem.

Znane są odmiany bojowników o różnych odcieniach błękitu, czerwieni, zielone, różowe i albinotyczne oraz wielobarwne. Hodowcy bojowników opracowali sposób oceny urody poszczególnych samców i urządzają specjalne konkursy piękności. Różne rasy bojowników — tzw. standardy, mają swój dokładnie opisany wzorzec i sposób ich oceny podlega szczegółowym przepisom. Niestety, w na-

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Fot. **Andrzej Kruszewicz**

W historii PŚ było wielu geniuszy. Aż czterokrotnie tryumfował słynny Włoch Gustavo Thoeni, po trzy razy Kryształową Kulę zdobywali Ingemar Stenmark (Szwecja), Phil Mahre (USA) i Pirmin Zurbriggen (Szwajcaria). Paru zjazdowców wygrywało PŚ dwukrotnie. Jednak Stenmark pozostanie na długo głównym asem imprezy. Tylko on może poszczycić się tak ogromnym dorobkiem — zwyciężył 85 pucharowych slalomów. Jeszcze nikomu nie udało się powtórzyć innego wyczynu Szweda — wygrać we wszystkich gigantach jednego sezonu. Fenomenalny ,,Ingo'' dosłownie deklasował konkurentów. Bywało, że osiągał nad nimi przewagę 3–4 sek. Porównując ją np. z wynikami w lekkoatletycznym skoku w dal musielibyśmy wspomnieć o rezultacie legendarnego Murzyna Roberta Beamona (igrzyska olimpijskie w 1968 roku), który skokiem na odległość 8,90 m ustanowił rekord świata aktualny do dziś...

BIEG ZJAZDOWY — najszybsza i najniebezpieczniejsza z konkurencji zjazdowych. Odbywa się na trasie o różnicy spadku od startu do mety 800–1000 m (mężczyźni) i 500–700 m (kobiety). Trasa oznakowana jest numerowanymi bramkami kontrolnymi o szerokości minimum 8 m. Przed zawodami obowiązuje oficjalny trening. Ze względu na duże prędkości narciarze muszą startować w ochronnych kaskach.

W gronie pań również nie brakowało supergwiazd. Najbardziej we znaki przeciwniczkom dała się Austriaczka Annemarie Proell-Moser. W pucharowych szrankach zwyciężała 62 razy. Jej koronną konkurencją był zjazd (37 zwycięstw). Tylko ona może poszczycić się aż sześciokrotnym wywalczeniem kryształowego trofeum (w latach 1971–75 i 1979). Pozostałe znakomitości wygrywały ,,jedynie'' w dwóch sezonach.

Od kilku lat na pucharowych trasach ,,rządzą'' narciarze Szwajcarii. Zresztą do nich należy również rekord dotychczasowych sukcesów — potomkowie Wilhelma Tella zwyciężyli 1/4 wszystkich rozgrywanych od 1966 roku zawodów. Michela Figini i Pirmin Zurbriggen bronią zdobytych poczas poprzedniej zimy ,,kul''. Trudno teraz powiedzieć, czy uda im się powtórzyć sukcesy z ubiegłego sezonu. Znakomitych rywali jest wielu. Chociażby ich rodaczki Maria Walliser i Vreni Schneider oraz Włoch Alberto Tomba. Zwojowali już sporo i poważnie myślą także o XXII PŚ. Groźny będzie zwłaszcza Tomba. Mimo swoich niedźwiedzich wprost rozmiarów (195 cm wzrostu i 100 kg wagi) porusza się wśród slalomowych tyczek z lekkością baletowej primabaleriny i na dodatek skutecznie. To dało się zauważyć również podczas ostatnich igrzysk olimpijskich, gdzie Bolończyk wywalczył dwa złote medale. Do grona zdobywców Kryształowej Kuli zechcą zapewne powrócić również reprezentanci Austrii, Francji i USA. Rozpoczęta już rywalizacja zapowiada się więc niezwykle emocjonująco. My z zainteresowaniem oczekiwać będziemy na starty Katarzyny Szafrańskiej i Małgorzaty Bachledy-Szeligi. Podopieczne trenera Andrzeja Kozaka nie są jednak w stanie zagrozić światowej czołówce, jak to czynił przed laty Andrzej Bachleda.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **archiwum**

SLALOM GIGANT — różnica spadku wynosi 250–400 m (dla mężczyzn) i 250–350 m (dla kobiet). Bramki jak w biegu zjazdowym. Narciarze nie przeprowadzają żadnych treningów, a z trasą zapoznają się przed oficjalnymi zawodami tylko wzrokowo. Ta konkurencja jest czymś pośrednim między slalomem specjalnym i biegiem zjazdowym.

Maria Walliser, jedna z najlepszych narciarek świata, ma wiele znakomitych rywalek

Zielono mi (181)

Zakwitnie czy nie zakwitnie?

Dereń jest pierwszą rośliną drzewiastą zakwitającą na wiosnę

Podanie ludowe głosi, że gałązki wiśni ścięte w dniu Zwiastowania Marii (8 grudnia) i wstawione w mieszkaniu do wody, zakwitną na pewno w Wigilię Bożego Narodzenia (24 grudnia). Dawniej, gdy 8 grudnia świętowano dzień zwiastowania dobrej nowiny o rychłym przyjściu Zbawiciela, łatwo było zrozumieć zakwitanie gałązek wiśni w dzień Bożego Narodzenia. Oto dobra nowina sprzed kilku tygodni objawia się białym kwieciem w święta... Obecnie, gdy o Święcie Zwiastowania prawie że zapomniano, nie kojarzymy już tak łatwo przyczyny ze skutkiem. Czas więc dać zjawisku wyjaśnienie naukowe.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

W TAJEMNICZYM ŚWIECIE GŁĘBIN

(PAP). Choć zabrzmi to nieprawdopodobnie, dopiero teraz uczeni odkryli organizm roślinny, który należy — ich zdaniem — do jednego z dwóch najliczniejszych mieszkańców światowego oceanu. Odkrycie nie nazwanego jeszcze tworu przyrody, o rozmiarach około jednej pięćdziesiątej średnicy włosa ludzkiego, rzuca nowe światło na tajemniczy świat oceanicznych mikroorganizmów, do dziś kryjący wiele zagadek.

Na głębokości 100 m, gdzie ledwie dociera światło słoneczne, te odkryte ostatnio jednokomórkowe organizmy roślinne osiągają koncentrację przeszło 100 tys. komórek w każdym milimetrze wody. *„Oznacza to, że w każdych 10 galonach wody (galon amerykański, to 3,78 l) znajduje się tyle owych komórek, ilu ludzi żyje dziś na Ziemi!* — oświadczyła Sallie W. Chisholm z Massachusetts Institute of Technology w Cambridge. Amerykańscy badacze znajdowali te mikroorganizmy wszędzie — w wodach Atlantyku, Pacyfiku, na Karaibach i w Zatoce Meksykańskiej.

Mimo jego obfitości w górnych warstwach wód oceanicznych, plankton, o którym mowa, umykał dotychczas uwadze badaczy ze względu na swe mikroskopijne rozmiary oraz niemal zupełny brak fluorescencji — cechy, która sprawiła, że był prawie niewidoczny przez mikroskopy epifluorescencyjne. Odkrywcy mikroplanktonu wykryli jego obecność za pomocą cytometru laserowego, stosowanego dotąd w badaniach biomedycznych.

Jednokomórkowce, o których mowa, zostały dostrzeżone po raz pierwszy przed 10 laty przez dwóch innych badaczy amerykańskich — Paula Johnsona i Johna Sieburtha z Uniwersytetu Rhode Island, którzy używali mikroskopu elektronowego. Uczeni ci odkryli wówczas najliczniej występujące formy innych morskich mikroorganizmów — cyjanobakterii, które także nie były wcześniej dostrzeżone przez biologów. Komórki mikroplanktonu wzięli oni po prostu za inną formę cyjanobakterii.

Nowo odkryte mikroorganizmy budzą wielkie zainteresowanie biologów z tego względu, że są nadzwyczaj podobne do organelli, odpowiedzialnych u roślin za mechanizm fotosyntezy i — zdaniem niektórych uczonych — są „przodkami" tych części bardziej złożonych roślin.

Tu startują olimpijczycy — nie tylko sportowi

Stu lat, piastowska „TRÓJKO"!

Jej mury opuścili tacy znakomici sportowcy, jak Marian Woronin, Stanisław Terlecki czy Anna Jarzębczyk. Ale może jeszcze ważniejsze jest, że każdego roku tę szkołę opuszcza zastęp wysportowanych młodych ludzi. Wszakże Szkoła Podstawowa nr 3 w Piastowie, nosząca imię gen. Karola Świerczewskiego, znana jest ze swych sportowych tradycji. Sport i kultura fizyczna mają tu swego duchowego przywódcę. Jest nim pan Andrzej Emilianowicz, od dawna związany ze szkołą działacz sportowy, o którym mówi się, że jest nauczycielem z prawdziwie trenerską żyłką. Nic też dziwnego, że takie słowa, jak olimpiada, olimpijski, olimpijczyk nie są w szkole czymś obcym.

Ale ma szkoła i innych olimpijczyków — tych, którzy uczestniczą w olimpiadach wiedzy. Specjalnością piastowskiej „trójki" są biologia i chemia. Zwłaszcza ta druga specjalność jest odbiciem współpracy, jaką szkoła nawiązała z miejscowymi zakładami pracy, a są wśród nich zakłady przemysłu chemicznego. Chemia nie należy w większości szkół do ukochanych przedmiotów — tym większą więc satysfakcję mogą mieć piastowscy nauczyciele tego niełatwego przedmiotu.

Szkoła ma dobrą obsadę nauczycielską, przy czym 80% kadry legitymuje się dyplomem wyższej uczelni i specjalizacją zawodową. To pozwala nauczycielom, a w konsekwencji i uczniom, być bliżej praktyki i życia. Sprzyja temu współpraca z zakładami pracy. Chyba najdłużej współpracuje szkoła z PKP. Trudno się dziwić, wszakże do 1980 r. była szkołą podległą Ministerstwu Komunikacji. Dziś już nie jest, ale współpraca z koleją została utrzymana, zwłaszcza, że Piastów jest miastem kolejarzy i wielu uczniów pochodzi z kolejarskich rodzin.

Szkoła powstała w 1958 roku. Już w pierwszym roku pracy było tu sześciuset uczniów w 17 klasach. Uczyło ich 18 nauczycieli. Teraz nauczycieli jest 50, uczniów ponad tysiąc; wśród tej nauczycielskiej pięćdziesiątki nie brak osób, które w „trójce" spędziły znaczną część swego zawodowego życia. Sama pani dyrektor, mgr Leokadia Lange, pracuje w szkole od 22 lat, a pani Zofia Korczakowska, która za swą pracę otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, jest w szkole od początku, czyli od 30 lat.

Bo właśnie w tym roku „trójce" stuknęła trzydziestka. Wspaniały wiek! Wypada życzyć szkole, by w następnym trzydziestoleciu swego istnienia dorobiła się nieco lepszych warunków lokalowych i nie musiała prowadzić zajęć na dwie zmiany. A także, by jej koła zainteresowań uzyskały dla swej działalności więcej miejsca i czasu. Słowem, by szkołę omijały te wszystkie bolączki, które znane są większości naszych szkół. No, a przede wszystkim życzymy... kolejnych nie tylko sportowych, olimpijczyków!

(tok)

Fot. **Mieczysław Włodarski**

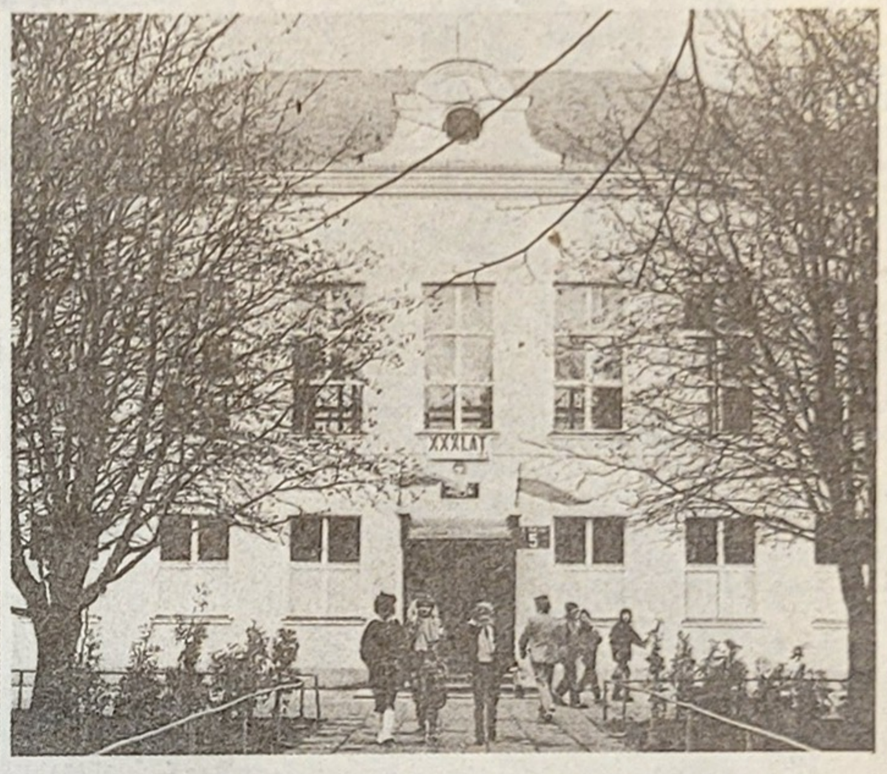

WAKACJE

W DOLINIE KŁONOWEGO LIŚCIA

Ewa Przybylska 43

Pan patrzył na Paulinę i patrzył.

— Dlatego niech Pan nie wyjeżdża... To tak, jakby nie Bogu lecz im przyznał Pan rację... Panu nie wolno tego zrobić...

Pan milczał. Nie oglądał się już na Danielę. Patrząc na Pana złotego w złotym słońcu, Paulina uwierzyła nagle, że on się wszystkim oprze... Musi się oprzeć ze względu na siebie, na Danielę i na wszystkie dzieci w Miasteczku, które gdyby mogły, poszłyby za Panem z Miasteczka.

Pan nadal nic nie mówił. Dotknął ręki Pauliny, a oczy robiły mu się coraz większe i jaśniejsze, gdy tak patrzył na nią... Nagle okręcił się i ruszył tamtym naprzeciw. Matki różańcowe rozbłysły w uśmiechu. Lecz w miarę, jak Pan mówił, uśmiech ten nikł. Wreszcie krzyknęły Pochwalony i poszły przed siebie, nawet nie rozmawiając. Pan objął Danielę i na oczach całego Rynku pocałował ją. Potem wzięli się za ręce i poszli w stronę łąk.

Mietek siedział na pomoście obok Orkisza, z którym był od imienin świętej Anny w wielkiej przyjaźni. Łódki pływały statecznie po Zalewie, chłopcy wydzierali się z umiarem, gwizdek w ustach Orkisza odzywał się rzadko, jak równie bardzo rzadko Orkisz musiał kląć. Przy przeciwległym brzegu tkwiła łódź brata wikarego, Bobcia, a obok niej prywatny kajak malarza Patuli, który w zamian za zgodę przebywania na akwenie Orkisza, pomalował mu dom w Rynku od piwnicy po dach, a także drewniany domek przy Zalewie. Orkisz siedział teraz koło Mietka i sycił wzrok ładem zaprowadzonym przez siebie. Naraz wstał, jakby sobie o czymś przypomniał.

— Wrócę za godzinę. Ty siedź i pilnuj jak swego. Opłaci się.

Odszedł swoim szerokim krokiem marynarza. Mietek wsadził gwizdek do ust i chwilę polował oczyma na niesubordynowanych. Ale łódki pływały statecznie, jak trzeba. Wstał więc i zaczął spacerować po pomoście krokiem Orkisza, dokładnie podpatrzonym. Orkisz siedział zapewne w swojej chatce i spożywał zupę ugotowaną na prymusie. Odkąd Orkisz stał się wynalazcą, nigdy nie przegapiał pory jedzenia, mięśnie bowiem miały w jego pracy zasadnicze znaczenie.

Mietek chwilę wpatrywał się w okno chatki, czy aby nie ujrzy w nim Orkisza, Orkisz bowiem nade wszystko lubił pilnować pilnującego. Nie zauważył jednak nikogo.

Siadł więc na powrót na deskach, a jego oczy, nie mniej sokole niż oczy Kierownika, dostrzegały każdy ruch łódek. Nagle zauważył, że chłopcy ustawiają łodzie naprzeciw siebie, wiosła wytykając na sztorc. Mietek za długo był admirałem, aby nie odróżnić szyku bojowego od zwykłych manewrów. Wstał więc i zagwizdał ostrzegawczo. Oni jednakże mieli równie dobre oczy jak on i z miejsca zorientowali się, że Mietek jest sam, odgwizdali na palcach i wzięli się do szturmu.

W pierwszej chwili Mietek spojrzał w stronę chatki. Gdyby Orkisz w niej siedział, już by go wrzawa bitewna ściągnęła na pomost. Lecz wynalazcy nie było widać. Mietek odczytał to jako znak, iż jest to najodpowiedniejsza pora na zdobycie sławy poskromiciela. Wskoczył do łódki z żółtym pasem wkoło burty na znak, iż jest to łódka ratownika. Poczem ruszył niezwłocznie w stronę pola bitwy, już nie gwiżdżąc tylko bystro się rozglądając.

— Poddajcie się! — ryknął.

— Spływaj szczurze lądowy! — odwrzasnął Roman, całkowicie lekceważąc Mietka.

Mietek na ogół nie bywał przesadnie wrażliwy na punkcie swego prestiżu. Jednakże co innego być zwykłym sobie uczniem czy nawet admirałem, a co innego zastępcą Orkisza.

Podpłynął więc bliżej i tak doszło do abordażu łodzi byłego admirała z łodziami najbardziej walecznych. Zamierzyli się na Mietka wiosłami, lecz on, zupełnie nie dbając, czy potrafią pływać, podciął im nogi wiosłem. Łódź zachybotała, podwójny plusk powiadomił Mietka, że ma o dwóch przeciwników mniej. Cztery pozostałe łodzie nacierały nieustępliwie. A gdy o mały włos poradziliby sobie z byłym admirałem, okazało się, że tamci dwaj, strąceni w fale Zalewu, tylko dlatego wystawali jeszcze ponad lustro wody, że bez przerwy podskakiwali, odbijając się nogami od dna. Mietek znał się na rzeczy. Wiedział, że za długo podskakiwać się nie da. Trzasnął więc nacierającego sternika pięścią w ucho, poprawił wiosłem, poczem zajął się bez reszty tamtymi dwoma, wciąż podskakującymi.

Był już najwyższy czas. Mietek wysunął ku nim wiosło, a oni złapali je kurczowo. Przyciągnął ich do burty, pokazał na ster, a oni szybko uczepili się tego. Potem ruszył.

Uczepieni hamowali pęd łódki, do czego Mietek odniósł się z pełną wyrozumiałością. Gdy jednak któryś z nich zapragnął się wgramolić do łodzi, wyrozumiałość opuściła Mietka. Trzepnął go przez łapy, chwilę pomoczył pod wodą i tak nieco podduszonego doholował do brzegu. Trzy łodzie ścigały ich przez pewien czas, aż nagle przyhamowały, zrobiły śliczny w tył zwrot i każda odpłynęła w swoją stronę.

Mietek zrozumiał bez sprawdzania, że oto Orkisz ukazał się na horyzoncie. Wynalazca Zalewu kroczył po pomoście nie okazując ani gniewu, ani niepokoju. Pozwolił podtopionym wejść na deski, dopiero potem wymierzył sprawiedliwość. Na koniec wskazał im drogę do domu. Lecz oni nie chcieli pójść, tylko błagali, aby wlał im, ile chce, albo nawet kazał ciężko odpracować głupotę, co mu się przecież również opłaci. Orkisz był jednak nieugięty.

— Przecież łódź nie zatopiona — argumentował Irek drogerzysty.

— Gdyby była, to by ciebie nie było — na to Orkisz.

— Przecież Zalew jest płytki — argumentował Irek, wadliwie sądząc, że przez Orkisza przemówiło poczucie odpowiedzialności.

— Mój Zalew — podkreślił Orkisz nie patrząc na Irka — jest w porządku... Twoje giry dna nie sięgną, co było widać gołym okiem...

— Ależ panie Orkisz!... — nie ustępował Irek wytrząsając wodę z uszu. — Ja pana bardzo proszę...

— Wynocha! — rzekł krótko Orkisz i wyczerpał temat. Odwrócił się ku trzem łodziom, podpływającym grzecznie do pomostu. Postukał w zegarek, a żeglarze potulnie zeszli na deski. Spojrzeli na załamanego Irka i zrozumieli, co ich czeka. Orkisz pozwolił im uwiązać łodzie bez przeszkód. Dopiero gdy wszystko wykonali jak trzeba, rzekł: — Jak wy mi tu trele morele, to ja wam krótko, po męsku. Szorujecie pokład i wszystkie łodzie, jakie są. Jak nie, to ja was tu do końca wakacji nie widzę...

Spojrzeli na siebie przerażeni. Rzucili się do wiader i szczotek. Przechodząc Roman rzekł do Mietka z urazą:

— Kabel!

A Mietek na to:

— Głupku. Jak byś zatopił łódź, to by cię chłopaki na proszek starli! Wciągaj te swoje gały z powrotem do głowy i rób, co ci każą.

Roman potoczył jeszcze raz swymi cebulami, ale już dotarła do niego prawda słów Mietka. Ruszył spiesznie po wiadro.

Orkisz siedział na deskach, przyglądał się Mietkowi i myślał swoje.

— Nadałbyś mi się! — rzekł wreszcie. Nawet do końca wakacji.

Mietek zainteresował się.

— Za ile? — spytał konkretnie.

Orkisz zdziwił się, ale nie za bardzo.

— Cztery przejazdy dziennie gratis.

Mietek przeliczył to byskawicznie na złotówki.

— Sześć! — podbił. — I trochę grosza na limoniadę.

— Sprytny jesteś — pochwalił go Orkisz z umiarkowanym podziwem.

— Jak człowiek robi bez zapłaty, to nie szanuje roboty — wyjaśnił Mietek. — Chciałby pan, żeby nie szanował?

Orkisz nie chciał.

— Cwaniura z ciebie, Mietas! — rzekł z nieco większym uznaniem.

— Człowiek nie może być do tyłu ze sprawiedliwością — wytłumaczył mu Mietek. — Powinien zawsze wiedzieć ile i za co, nawet gdy mu dają tylko w łeb... Więc jak pan uważa? Mogę tylko przed południem... Moja mama nie zawsze ma zrozumienie dla ważnych spraw...

Cdn.

Opowiadanie „Sa Rodine" z Warszawy zostało wyróżnione w XIV Konkursie Literackim

SZKOŁONOTATKI, czyli TAKI MAŁY, ZIELONY Z ANTENKĄ

Kata starannie przygładziła sobie grzywkę. Następnie nie spiesząc się zaczęła robić sobie kanapkę z dżemem. Widząc to jej młodsza siostra boleśnie jęknęła.

— Chciałaś coś? — burknęła Kata. Z wyżyn swoich trzynastu lat lekceważąco spoglądała na Mirandę, która na rozpoczęcie roku szkolnego udawała się właśnie po raz pierwszy.

— Kasiu, już powinnyście chyba wychodzić! — wtrąciła się mama.

— Najwyżej się spóźnię.

— Mamo, to się już zaczęło, a Kata jak zwykle się obżera!

— Kasiu, kończ już tę kanapkę!

Kata pokiwała głową. Nie mogła mówić, bo usta miała wypełnione dżemem z niewielkim dodatkiem chleba. Jeszcze raz przyczesała włosy, skończyła jeść, obejrzała się w lustrze i ciamkając landrynkę szparko potoczyła się do szkoły.

Oczywiście kiedy przyszły, uroczystość już trwała. Jedyne wolne miejsce dla Katy było koło jakiegoś chłopaka — zdaje się, że nowego w ich klasie. Postać ta była naprawdę niezwykła. Długi, tyczkowaty tułów wieńczyła głowa dokładnie zasłonięta czarnymi włosami, spod których wyłaniał się jedynie nos niepospolitej długości. Całość była ogromnie chuda — wydawało się, że przy najmniejszym ruchu kości zaczną grzechotać o siebie. Kilka osób zachichotało — porównując pulchne kształty Katy z figurą jej sąsiada. Zaczepiona, lekceważąco wzruszyła ramionami i pojadając toffi zatopiła się w rozmyślaniach. Ocknęła się dopiero na brawa, jakich nie szczędzili pani dyrektor zachwyceni uczniowie, i przyłączyła się do nich ze szczerym entuzjazmem.

Po części artystycznej wszyscy na złamanie karku pognali do klasy, walcząc o lepsze miejsca. Kacie udało się zająć przedostatnią ławkę. Siedziała z Pati, nie zwracającym uwagi pieguskiem. Ale pozory mylą, a cicha woda brzegi rwie...

Kiedy weszła wychowawczyni, klasa była już usadowiona. Pierwsze ławki zajęli lizusi — Fenomenalny Zyzio i Śliczna Anetka. Zyzio — naprawdę Michał — siedział sam, a Anetce towarzyszyła zawsze i wszędzie Ania. Tajemnicą publiczną jednak było, że tej słodkiej przyjaciółeczce chodzi tylko o to, by miała od kogo odpisać zadania domowe. Co Anetka o tym sądziła, pozostało na zawsze wielką niewiadomą.

Pierwsze spojrzenie nauczycielki powędrowało ku Kacie i Pati. Wzrok dziewczynek wyrażał ogromne uwielbienie. Na nic to się jednak zdało.

— Kasiu, weź rzeczy swoje i usiądź koło... Artura, tak? — ostatnie słowa skierowane były do tyczkowatego bruneta, rzeczywiście nowego — a ty, Patrycjo przenieś się do Michała.

— A nie mogłabym siedzieć sama?

— Nie, kochanie.

Pati z ciężkim westchnieniem usiadła obok chłopaka, odsuwając się możliwie najdalej. Zyzio przyciągnął swoje zeszyty do siebie, odgradzając się od sąsiadki rozłożoną książką. Wskutek genialnego zarządzenia władz, lekcje zaczynały się bowiem już pierwszego dnia.

Oczywiście cały czas przegadali. Słuchano wspomnień z wakacji. Niektóre były rzeczywiście ciekawe. Artur opowiedział o swoim pobycie na Syberii, w okolicach upadku meteoru tunguskiego. Mówił bardzo interesująco.

Po lekcjach okazało się, że wiele dziewcząt przypomniało sobie o nie cierpiących zwłoki sprawach, które można załatwić jedynie koło domu Artura. Niestety, okazało się również, że Artur musi sprawdzić coś niesłychanie ważnego w okolicy zamieszkania słodkiej idiotki, Ewci...

★ ★ ★

Następnego dnia, ku wielkiemu zdziwieniu klasy, Kata przyszła do szkoły punktualnie. Pati też już była, co wywołało masę domysłów. Wyjaśnienie tego zjawiska było jednak bardzo proste: obie dziewczyny miały rodzeństwo w pierwszej klasie i musiały odprowadzać je do szkoły na czas, zmuszały je bowiem do tego bezwzględne rodzicielki. Tak więc o ósmej, kiedy weszła polonistka Jasia, wszyscy siedzieli już na swoich miejscach: Kata chrupiąc paluszki czytała jakąś książkę. Zauważywszy nauczycielkę, jedzenie schowała, a powieść położyła na kolanach. Po sprawdzeniu listy i kilku zdawkowych pytaniach na temat wakacji, polonistka przystąpiła do lekcji, a Kata powróciła do lektury.

— Kasiu, co czytasz? — zapytała słodziutko Jasia.

Dziewczyna zaczerwieniona próbowała schować dowód rzeczowy do teczki, ale nauczycielka była szybsza. Zobaczywszy charakterystyczną czerwoną okładkę, aż zasapała z oburzeniem...

— Daj mi to natychmiast! Alister MacLean! „Czterdzieści osiem godzin"! To nie jest lektura dla panienek w twoim wieku!

I popłynął wykład o tym co przystoi, a co nie panienkom w Katy wieku.

Stanęło na tym, że po książkę zgłosi się rodzic Katy. Potem polonistka zadała pracę pisemną, a sama zagłębiła się w odebranym kryminale.

Przez cały dzień dziewczyna umierała z nudów. Dlatego też dostała piątkę z biologii za udział w lekcji. Było to zdarzenie tak rzadkie, że Żabcia sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Kiedy wieczorem Kata szła do spożywczego, który jako jedyny w mieście sprzedawał mrożonki, niespodziewanie natknęła się na Artura.

— Cześć.

— Cześć.

Szli chwilę w milczeniu.

— Ja tu mieszkam. Chodź do mnie.. coś ci pokażę...

— Dobra, ale wpierw zrobię zakupy, bo mi sklep zamkną.

— Ale szybko.

Kiedy po piętnastu minutach, bez zdobyczy (mrożonek nie było) wrócili przed dom Artura, chłopak jakby żałował, że ją zaprosił. W tej chwili jednak zza zakrętu wyłonił się tabun prześlicznych dziewcząt z klasy VIIa. Widząc wielbicielki, chłopak przestał się wahać i ciągnąc za sobą Katę, błyskawicznie znalazł się w klatce.

Mieszkanie państwa Stefańskich było małe, ale bardzo ładnie urządzone. Artur zaprosił gościa do swojego pokoju, wyciągnął ulubione ciasteczka Katy i wyszedł na chwilę. Za moment wrócił, niosąc czerwono-brunatny kamień i podał go dziewczynie.

— No i co to jest?

— Popatrz — odrzekł gospodarz. Wyciągnął z kieszeni garść gwoździ i przytknął do kamienia. Trzymały się, jakby przyciągane.

— Mam książkę o skałach. Taki minerał na Ziemi nie występuje. Poza tym to nie jest ruda żelaza. Znalazłem to na Syberii.

Kata przypomniała sobie, że Lem już dawno coś takiego wymyślił. Poza tym nigdy nie wierzyła w ufoludki. Wzruszyła ramionami. Ale Artur tego nie zauważył. Był w swoim żywiole.

— Pewnie to był statek z innego układu... Może z Alfa Centauri... Albo z Syriusza... Przylecieli... rozbili się, biedacy... Tacy śliczni, zieloni, z antenkami...

— Bzdura! Ufoludków nie ma!

— Ależ są!

— Jasne, że nie ma!

— Są!

— Nie ma!

— Są! Pomyliłem się! Jesteś tak samo głupia jak inni. Jak nie ma, to powiedz, co to jest!?

— Nie ma! To rzadko spotykana ruda żelaza!

— Nieprawda! To część statku kosmitów!

— Takich małych, zielonych?!

— A tak!

— Bzdura!

Kłótnia trwałaby jeszcze długo, gdyby nie zgrzyt klucza w zamku, oznajmiający rodziców Artura. Kata spojrzała na zegarek i przeraziła się.

— O Boże! To już ta godzina! Muszę iść!

— To idź. Cześć gruba.

— Licz się ze słowami, ty mały, zielony idioto z antenką!

— Tylko bez epitetów!

Ale Kasia była już na klatce.

Trzeciego dnia nauki (jeszcze tylko 294 dni do wakacji) nic się nie działo, tylko na przerwie przed polskim przyszedł do szkoły ojciec Katy — łysy chudzina w okularach. Jedyne, co miał za złe swojej córce, to to, iż nie powiedziała mu, że zdobyła MacLeana, którego on sam jeszcze nie czytał. Ale tego nie mógł Jasi powiedzieć, więc zapewnił ją nieśmiało, że wyciągnie właściwie konsekwencje. Widząc zaś niezbyt zręczne manipulacje nauczycielki z zakładką, która niewiadomo skąd znalazła się w książce, zaproponował, że pożyczy jej jakiś kryminał. Polonistka certowała się, ale niezbyt długo. Omówiwszy klasykę literatury sensacyjnej oraz nowszych pisarzy, dorośli rozstali się bardzo przyjaźnie dwadzieścia minut po dzwonku.

Podczas reszty lekcji Kata się nudziła. Siedziała sama, bo jej sąsiad za zgodą wychowawczyni przeniósł się do Słodkiej Idiotki. A na nią się obraził.

Przez następne dni Ewcia chodziła szczęśliwa. W szkole nie rozstawała się z Arturem. Dyskutowali o teoriach Daenikena, spotkaniach trzeciego stopnia, Atlantydzie i wielu innych równie ciekawych rzeczach. Klasa ze zdumieniem zauważyła, że jest coś, co interesuje Słodką Idiotkę bardziej niż chłopcy.

— Krzyżyk na drogę — mruknęła Kata, starannie maskując zazdrość. Wyraziła tym samym zdanie większości dziewczyn.

Ustało więc ogromne zainteresowanie mrożonkami. Na dworze było mokro, więc nic dziwnego, że żeńska część klasy VIIa często zostawała razem z klasą VIIb w szkole po skończonych lekcjach. Na powodzenie tych spotkań nie miał wpływu fakt, że owa klasa składa się prawie wyłącznie z samych chłopców.

Powoli ludzie wdrażają się w rytm szkolnego życia. Anetka pokłóciła się z Anią i teraz siedzi z Zyziem. Kata i Pati siedzą osobno, ale na każdej lekcji piszą do siebie listy. Jasia i ojciec Kaśki pożyczają sobie kryminały, na czym korzysta również nasza grubaska. Słowem — jakoś się żyje.

A Artur i Ewcia? Czekają na ufoludki. Takie małe, zielone z antenką...

„Sa Rodine"

GLADIATOR W AKWARIUM

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

szych sklepach spotyka się głównie mieszańce kilku ras. Kto chce zdobyć naprawdę rasowe bojowniki, powinien nawiązać kontakt z ich hodowcą przy okazji wystawy lub giełdy akwarystycznej.

Bojowniki są ciepłolubne. Temperatura wody w ich zbiornikach powinna wynosić 25–30°C i nie powinna zbytnio się wahać. W 40-litrowym akwarium możemy trzymać parkę razem, pod warunkiem, że w akwarium jest dość dużo roślin, aby samica mogła skryć się przed samcem. Większą liczbę samic można trzymać razem w jednym akwarium, ale samce muszą przebywać pojedynczo — każdy w osobnym zbiorniku. Pomieszczeniami do ich pielęgnacji mogą być akwaria z wydzielonymi, około 2–3-litrowymi izolatkami. Samce mogą wówczas obserwować się, stroszyć płetwy i wzajemnie sobie imponować. Wpływa to korzystnie na rozwój ich płetw. Pod warunkiem codziennego sprzątania odchodów, samce można też trzymać w 1–2-litrowych słojach lub szerokich butelkach. Zbiorniki z bojownikami powinny stać w ciepłym i jasnym miejscu. Mogą być oświetlone silną żarówką, która zapewni im również ciepło.

Pokarmem bojowników są wszelkie bezkręgowce (robaki, larwy owadów, plankton), małe rybki i różne pasze suche stosowane w akwarystyce. Pokarm musi być podawany w małych ilościach, tak aby rybki nie zatuczyły się, bo tracą wówczas ruchliwość i swój szlachetny kształt.

Wszystkich miłośników żywej przyrody gorąco zachęcam do pielęgnacji bojowników w akwarium lub słoju. Rozmnażanie tych ryb nie jest trudne. Napiszę o tym innym razem.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

Zakwitnie czy nie zakwitnie?

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

Otóż wszystkie drzewa i krzewy rosnące w klimacie umiarkowanym zapadają pod jesień w tak głęboki spoczynek, że nie sposób ich z tego spoczynku wyrwać. Zapadanie w spoczynek postępuje stopniowo. Już latem widać, że rosną tylko pąki na szczycie pędów, podczas gdy inne śpią sobie w najlepsze mimo ciepła i słońca. To dobrze, że śpią, bo gdyby rosły wszystkie, wówczas drzewo przybrałoby kształt szczotki do czyszczenia kominów i tkwiłoby gdzieś nisko przycupnięte przy ziemi. Dzięki dominacji pąków szczytowych nad pąkami bocznymi, wierzchołek drzew dźwiga się szybko do góry, rozpychając łokciami (gałęziami) swoich konkurentów, którzy robią dokładnie to samo. W dążeniu do słońca zwycięża ten kto silniejszy.

Latem spoczynek pąków nie jest jeszcze głęboki, toteż niektóre z nich budzą się i rosną, lecz nigdy nie prześcigają pędów szczytowych. Czuwają nad tym hormony roślinne zwane auksynami, które tworzą się w dużej obfitości w liściach pędów szczytowych i spływają w dół. Inne pąki mimo pozornego uśpienia tworzą powoli zaczątki kwiatów. Żaden z nich jednak nie zakwitnie aż do wiosny, gdyż wspomniane już hormony nie pozwolą im na dalszy rozwój.

Tymczasem dowiadujemy się z telewizji lub przez radio, że gdzieś tam na pięknej wsi opolskiej zakwitły latem jabłonie lub wiśnie, co rzekomo wróży długą i ciepłą jesień. Jak to się mogło stać? Czyżby przyroda zwariowała?

Wspomniałem już, że hormony zawiadujące rozwojem pąków powstają w liściach. Co się stanie, gdy liście oberwiemy? Nie będzie hormonów. Pąki pozbawione kontroli zaczną się rozwijać, a jeśli w pąkach są już zaczątki kwiatów, to drzewo zakwitnie w środku lata. U nas mało kto zabawia się w obrywanie liści z jabłonek, ale często wyręczają nas w tym gąsienice i inne szkodniki. Po obfitym żerowaniu szkodników pojawiają się na drzewie, w sierpniu lub we wrześniu, najpierw kwiaty, a później nowe liście. Każdy z Was może się pochwalić kwitnącą jesienią po oskubaniu liści w sierpniu, przynajmniej jedną gałązką.

Jesienią spoczynek drzew jest już tak głęboki, że żadne skubanie liści, zwane **defoliacją**, nie robi wrażenia na pąkach. Stopniowo liście same opadają i teraz potrzebna jest niska temperatura, najlepiej w granicach 7–10°C, by drzewo się „wyspało" i nabrało ochoty do życia. W naszych warunkach klimatycznych jest pod dostatkiem chłodu we wrześniu, październiku i w listopadzie, toteż w pierwszych dniach grudnia większość drzew jest gotowa do nowego życia. Skąd ta decydująca data: **8 grudnia**. Niestety właśnie wtedy zaczyna się zima na dobre, toteż wypoczęte drzewa muszą jeszcze czekać 3 do 4 miesięcy, by mogły się rozwinąć.

Spoczynek drzew i krzewów ma duże znaczenie praktyczne. Zrozumiałe jest, że w ten sposób natura przygotowuje rośliny do przetrwania zimy, więc jest to zjawisko bardzo pozytywne. Ale są i kłopoty z tego powodu. Ludność krajów tropikalnych chciałaby uprawiać jabłka i inne owoce klimatu umiarkowanego, gdyż ma już dosyć, po uszy, słodkich i mdłych bananów. Niestety jabłonie nie znajdują w klimacie tropikalnym potrzebnego chłodu, więc nie rozwijają się prawidłowo lub rosną w przedziwny sposób — jak nasze topole włoskie — i nie kwitną. Trzeba więc wynajdywać różne sposoby, by mogły przejść okres spoczynku. Sadzi się więc jabłonie w górach, gdzie przynajmniej okresowo jest chłodniej. Najciekawsze jest jednak to, że często symuluje się zimę przez obrywanie liści. Na Jawie i innych wyspach Indonezji tysiące pracowników skubie co roku liście z jabłonek, by mogły się one normalnie rozwijać i owocować.

Szczęśliwie mamy już środek zimy. Drzewa zakończyły swój fizjologiczny spoczynek. Ścinajmy więc gałązki i ustawiajmy w wazonach w domu. Zakwitną na pewno, jeśli mają pąki kwiatowe. A jeśli nie mają, rozwiną się w zielone bukiety.

AUGUSTYN MIKA

Zielona poczta

Małgosia Żuk ze Starzyna zapytuje, czy posadzone do ziemi nasiona winogron wykiełkują oraz jak się obchodzić z tymi roślinkami. Nasiona wykiełkują bardzo łatwo, lecz rośliny będą dzikie, rodzące owoce drobne i mało smaczne. Winorośl trzeba rozmnażać przez sadzonkowanie pędów jednorocznych pociętych na odcinki z dwoma lub trzema oczkami. Po posadzeniu do gruntu jesienią lub wczesną wiosną jedno oczko pozostaje nad ziemią, a pozostałe tkwią w ziemi. Sadzonki ukorzeniają się łatwo. Pod jesień można sadzonkę wysadzić na miejsce stałe.

(am)

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-ca sekr. red. Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28. **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Paweł i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Wiesława Chmielewska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" — Warszawa
Zam. 4938/G/88. U-43.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 4096/88
Nakład 439 000 egz.

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 2 (4552)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

DOMAN ROGI ODYNA

Andrzej O. Nowakowski

2

Autorką mego portretu jest **JOANNA PTASZYŃSKA,** którą zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Kochana Czytelniczko i Drogi Czytelniku, widzimy się po raz pierwszy w tym roku, trochę już za późno na noworoczne życzenia, dowiedz się więc czego Ci nie życzę:

- **Zbyt długiej zimy!**
- **Mokrych ferii!**
- **Wścibskich kolegów!**
- **Palących domowników!**
- **Snów-koszmarków!**
- **Stania w kolejkach!**
- **Niespodziewanych odwiedzin!**
- **Dennej muzyki na dyskotece!**
- **Pcheł na noc, karaluchów do poduchy i szczypawek do zabawy...**

Nie życzę Ci też, żeby ten rok okazał się lepszy... niż następny!

Twój **Rzep**

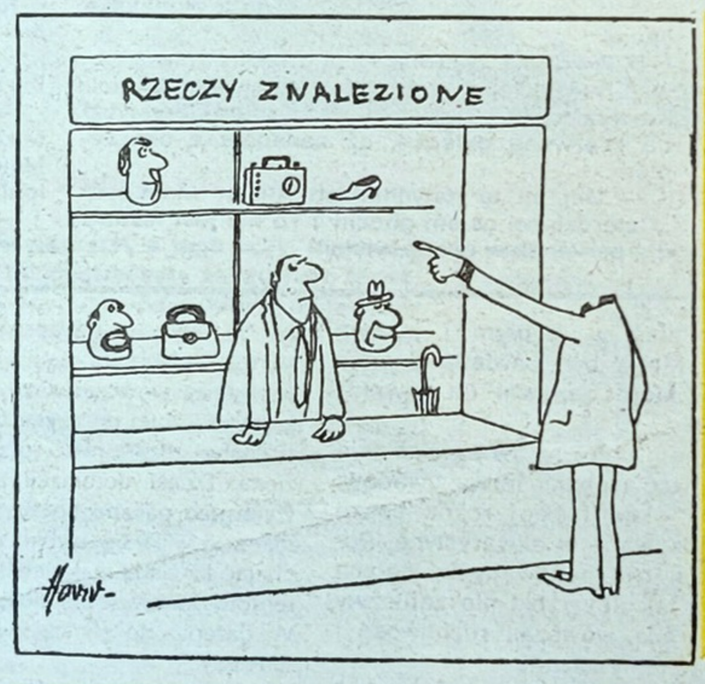

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Robert Malewicz,** od dziś — członek Rzepklubu.

AUTOPORTRET PSYCHOLOGICZNY

Namalował **Emil Radkiewicz** (7 lat), którego zapisuję do Sekcji Śmieszka. Czy nie uważacie, że Emil powinien zmienić nazwisko na Twardowski?